

Jerzy Sosnowski

Elsynor i Jerozolima

Nad Elsynorem niespokojna noc. Nie może zasnąć królowa, krąży po krużgankach rozgorączkowany książę, Poloniusz odpędza od siebie złe przeczucia, niegodne dworaka spod pomysłu gwiazdy. Aktorzy struchleli: zgromadzeni w jednej z komnat delibierują ściszonymi głosami, czy nie uchodzić jeszcze przed świtem. Książę wykorzystał ich widocznie do jakiejś intrygi. Nie ogarniają jej, ale wiedzą jedno: komedianta, który przyprawił króla o omdlenie, czeka w najlepszym razie chłosta. Wszak totumfacki Klaudiusza obiecywał im już wcześniej, że potraktuje ich, jak na to zasłużą. Pytanie tylko, czy udałoby się zaprząć konie i wydostać poza okrąg fosy, nie zwracając na siebie uwagi.

A przecież tak naprawdę mogą być spokojni. Nie tylko dlatego, że książę był im przyjacielem i zaprojektował swoją „pułapkę na myszy” bezbłędnie: król, karząc ich, przyznałby się do strasznej winy. Przede wszystkim chroni ich fakt zadziwiający: król o nich zapomniał, król nie ma głowy do zajmowania się ich nieważnymi istnieniami. Król kończy w pośpiechu rozmowę z Poloniuszem, bo chce porozmawiać z Bogiem.

W świecie, w którym ludzie czują się raczej nieszczęśliwi niż grzeszni, współczucie nabrało nieprzyjemnej lekkości. Cóż łatwiejszego niż współczuć komuś, zwłaszcza jeśli nie nam zrobił krzywdę. Nauczeni, że nasz los nie od nas samych zależy, że słuszniej jest mówić „nam się żyje” niż „my żyjemy”, bez trudności wstawiamy imaginacyjnie nasze ja w ciała przestępców, łotrów, zbrodniarzy i użalamy się ni to nad nimi, ni to nad sobą. Wspólna udręka istnienia znosi różnice między złoczyncą i ofiarą. Los złooczyńcy jest może nawet trudniejszy, ten nie może się bowiem schronić w poczucie niezawinionej krzywdy, a obietnice sprawiedliwości, których dziś pełno (są tanie, jak wszystko), przyprawiają go jedynie o lęk. A zresztą, czyż doświadczenie nie poucza, że granicę między rolami złooczyńcy i ofiary przechodzimy w tę i z powrotem po kilka razy w tygodniu? Czyż ofiary zawsze są niewinne, a złooczyńcy nikt nigdy nie zranił?

Pełni niesmaku wobec takiego rozproszenia, zmieszania win i krzywd, wybuchamy czasem gniewem i zaczynamy wydzielać nasze współczucie skąpo, bacznie przyglądając się bliźnim,

czy są aby krystalicznie nieszczęśliwi. Na wzmianki o zawiłościach duszy szubrawca wruszamy szyderczo ramionami: „Tak, tak, i na pewno hoduje świnkę morską albo pelar-gonie, więc ma jakieś zalety”. Niepokalana sprawiedliwość twardsza jest od kłiwego wruszania się losem przeniewierców i na tym polega jej dzisiejszy *sex appeal*. A jednak, a jednak: trójwymiarowy obraz uzyskujemy, patrząc dwójgłębym oczu, tym prawym i tym mi-łosierdnym. Zamknięcie lewego oka jest odruchem snajpera, przeobrażającym żywych ludzi w tarcze strzelnicze; nikt się nie uchowa. Choć i to prawda, że zamknąwszy z kolei prawe oko, uzyskujemy obraz rozmazany, ledwie czytelny.

Więc przez chwilę nie mierzę w Klaudiusza, ale wierzę mu. Wokół niespokojna noc Elsynoru, nie inna od wielu naszych nocy. Król jest bratobójcą, uzurpatorem, cudzołożnikiem. Jest nim i wie o tym. Spektakl *Morderstwa Gonzagi* zrozumiał aż nadto dobrze. Nazajutrz będzie już skończonym łotrem. Ale tej nocy jeszcze nie. Nazajutrz będzie drżał, że zbrodnia wyjdzie na jaw i że wszystko, co zdobył, zostanie mu odebrane. Dziś wie, że już się stało: bratanek przeniknął jego tajemnicę, a obecnym na przedstawieniu chyba tylko obawa przed gniewem władcy mogła odebrać zrozumienie treści spektaklu. Dekonspiracja nie zaprzęta jednak jego uwagi. Ludzka wiedza jest śmieszna w obliczu wiedzy Tego, komu żadne przedstawienie nie było potrzebne, przez cały czas bowiem siedzi na niebieskiej widowni. I to z Nim trzeba się wreszcie ułożyć.

*

„Mój grzech to już przeszłość” – powiada Klaudiusz; nie ma ochoty na więcej. Wbrew przestrogom moralistów wierzy, że można zatrzymać się na drodze występku, nie obrażać życia w opowieść idioty, głupia, wrzaskliwą i nic nieznaczącą. Wystarczy – bagatela! – wyprosić łaskę.

I cóż jest w modlitwie,
Jeśli nie owa podwójna moc, zdolna
Albo nas ustrzec od upadku, albo

Wybaczyć temu, kto upadł? Więc oczy
Zwróćę ku niebu.¹

Ale jak się modlić, skoro „smród mojej zbrodni bije aż pod niebo”? Oczyścić się, oczyścić. Skrwawionym dłoniom nadać białość śniegu. Przywrócić stan z początku czasów, gdy nic nie zapowiadało katastrofy, gdy nie wiedziało się jeszcze, że życie polega w znacznym stopniu na przerzucaniu się krzywdą, przekazywaniu jej dalej i dalej, a ona rośnie, nabrzmiwa jak wrzód. Wywinąć się ze swego dotychczasowego losu, biorąc przykład z węży gubiących skórę; nie przyjmować do wiadomości podejrzeń wielkich mędrców, że ja i mój los to jedno, a wszystko, co mamy za przypadek, z nas samych zostało wywiedzione, powiązane z nami niepotarganym węzłem tożsamości. Temu w końcu służy pokuta: boskie światło obmywa pokutnika z mroku, przepala źródła ciemności, daje jeszcze jedną szansę. Dlaczego Klaudiuszowi właśnie miałyby się nie udać? Dlaczego akurat on miałby pozostać w grząskim bagnie grzechu, gdy tylu innych potrafiło zawrócić na pewną drogę?

Więc Klaudiusz próbuje. Ale zaraz wybucha niewesołym śmiechem. Jak ma to brzmieć, to pierwsze zdanie, od którego wszystko zależy: „Przebac mi moje ohydne morderstwo”? To całkiem jak: „przepraszam, że zabiłem”. Przeprosić można za słowa wypowiedziane w gniewie; za zepsutą zabawkę; za wizytę nie w porę. Ale jak przeprosić za śmierć? Przeprosiny to magiczny zabieg na nieodwracalności czasu. W jedynej przestrzeni, która naprawdę się liczy, w przestrzeni międzyludzkiego rozumienia, wspólnej interpretacji faktów, uznajemy – o ile przeprosiny zostają przyjęte – jakieś wydarzenie za niebyłe lub przynajmniej za takie, którego „byłość” ulega osłabieniu. Coś jakby koszmar senny albo halucynacje obłąkanego, z których możemy się wspólnie obudzić. Tej samej drogi spróbuje niebawem książę Hamlet, mówiąc do Laertesza:

Wybacz mi, panie. Wiem, że cię skrzywdziłem,
lecz jako szlachcic bądź wspaniałomyślny.

¹ Wszystkie cytaty z Hamleta według wydania: William Shakespeare, *Hamlet, książę Danii*, tłum. Stanisław Barańczak, Poznań 1990.

Elsynor i Jerozolima

Jerzy Sosnowski

Wszyscy tu wiedzą – sam pewnie słyszałeś –
O moim ciężkim rozstroju nerwowym. [...]
Czy zatem Hamlet skrzywdził Laertesę?
Nie, to nie Hamlet; Hamlet nie był sobą.
Jeśli w tym stanie wyrządził ci krzywdę,
Winne jest jego inne ja, nie Hamlet.

Jako Laertes byłbym sceptyczny: nie dość, że inne ja, łatwo oddalone, łatwo może powrócić, to jeszcze (i to przede wszystkim) siostry i ojca nic już nie wskrzesi. Podobnie starego Hamleta. Śmierć jest nieodwracalna, a noc nad Elsynorem – nieprzenikniona. Nie rozbłyśka w niej ani jeden promień światła. Pozbawieni łaski, utkniemy w pułapce bez wyjścia.

Człowiek niewierzący na ideę odpuszczenia grzechów wzrusza ramionami. Nie sposób żałować drogi, która doprowadziła mnie do punktu, gdzie żal się wzbudza; droga bowiem, którą szedłem, stworzyła zarówno mnie, jak i mój żal. Rozpamiętywanie przeszłości wydaje się spokrewnione z nerwicą natręctw: w istocie wystarczy podjąć stanowcze postanowienie poprawy, cała reszta jest bez znaczenia. To, co minione, już dawno zapadło się w przeszłość; jak wszystko. W dodatku poczucie czystości dostarczane przez sakrament budzi moralne podejrzenia. Jakbyśmy wciąż pozostawali dziećmi, które w zabawie mówią czasem: „to się nie liczy”. Tymczasem liczy się – w tym sensie, że pozostawiło po sobie sprawy czy sytuacje, których już nie cofniemy. Nie zmieni się ani nie unieważni czasu, pamięci bliźnich, zysków i strat, które pociągnął za sobą nasz uczynek.

Ktoś, kogo uformował katolicyzm, nie ma na takie *dictum* łatwej odpowiedzi. W czasie katechizacji opanował dawno temu pięć warunków sakramentu pokuty. Pierwszy: rachunek sumienia. Drugi: żal za grzechy. Trzeci: szczerza spowiedź. Czwarty: mocne postanowienie poprawy. Piąty: zadośćuczynienie Panu Bogu i bliźniemu. Zredukowanie tej piątki do punktu czwartego jest niepojęte, chyba że pozbawi się nasze życie metafizycznego wymiaru, zrezygnuje się z wizji fundamentalnego ładu, który nasze uczynki naruszyły. Ów ład właśnie to postulat, bez

którego refleksji moralnej nie ma o co zaczepić i systemy etyczne, wznoszone poza religią (jak etyka Conradowska, chyba najpoważniejsza wśród nich), muszą go uwzględniać, przebierając się dla niepoznaki w świecki kostium. Stąd honor, etos zawodowy, tradycja, a z nimi symbolika czystości i plamy, quasi-sakralne sposoby obmywania się, rekonstruowania statusu *quo ante* lub przeciwnie – formuły ostatecznego potępienia. Protezą transcendencji okazuje się wola społeczna (i dopiero szaleństwo całych społeczeństw, jak w okresie hitleryzmu, lub – kto wie – może i dziś, podczas wolnorynkowego karnawału, uświadamia, że to proteza jedynie, że potrzebna nam wola, której niepodobna zmylić). Pierwotna jest jednak wyobraźnia religijna. To z niej czerpiemy praktyki, za pomocą których możemy przeciwdziałać skutkom naszego życia: postępującemu zepsuciu świata.

W nauce o odpuszczeniu grzechów skrywa się przy tym rzeczywistość pewna dwuznaczność: z jednej strony wiernemu pozwala się ufać, że po spowiedzi ma znów „duszę czystą jak śnieg”, z drugiej – napomyka mu się niejasno o otworzonym gdzieś debecie, który przyjdzie mu spłacić w tym życiu lub w ogniu czyśćca. Na dodatek pomoc w rachunku sumienia – tekst, który zaleca się dzieciom, a który kształtuje, jak wszystko w pierwszych latach życia, wyobraźnię religijną człowieka – przeniknięta bywa (a była przeniknięta z pewnością jeszcze w czasach mego dzieciństwa) duchem prawniczej kazuistyki: jej tyleż dociekliwe, co naznaczone niezręczną oględnością pytania pogrążały w rozpamiętywaniu szczegółów, z groteskowym uzupełnieniem: „ile razy?” przy występkach, które w oczach pobożnego autora miały szczególnie złowrogi wymiar. „Czy robiłeś coś brzydkiego ze sobą lub z drugą osobą? Ile razy?” – niedocieczona, lecz z pewnością cuchnąca tajemnicą, zawarta w tej frazie, wyznaczała zaczątki refleksji nad własnym życiem; zaczątki, które, rzecz jasna, należałoby przed osiągnięciem pełnoletniości przekroczyć, co jednak w pełni udaje się chyba tylko nielicznym. Najprostszy zaś akt wydośrośnienia, to jest odrzucenie całej tej autoprokuratorskiej maszyny,

prowadzi wprost do permisywizmu: w pędzie do generalnej oceny samego siebie, ponad problemem „ile razy?”, łatwo przeoczyć moment, gdy należałoby się zatrzymać na dłużej, pod groźbą usunięcia rzetelnych podstaw samodyscypliny. Tak właśnie między skrupulantstwem kauzyperdy a nieuważnością lekkoducha otwiera się obszar, po którym błąkają się chrześcijańskie, okołochrześcijańskie, postchrześcijańskie i protochrześcijańskie duszyczki, bezradnie szukając miary dla swoich sumień.

Jednak problem Klaudiusza dotyka czegoś jeszcze innego niż nieprzystawalność dziecięcej z ducha nadziei na przebaczenie – i grozy jego czynu. Z pięciu warunków sakramentu pokuty Klaudiusz cztery pierwsze spełnia. Nie wmawia sobie, że musiał otruć Hamleta; nie szuka łatwych usprawiedliwień, żałuje, że popełnił morderstwo, nazywa je dobitnie: „Tak, ciąży na mnie Kainowa klątwa: Zabiłem brata”. Tej nocy zdaje mu się, że nigdy więcej nie skala się zbrodnią (rano wysła królewicza do Anglii na pewną śmierć). Trudność leży w pytaniu o jego stosunek do czasu, o autentyczność marzenia, by czas cofnąć. Z pewnością nikt, przed Dniem Sądu, nie wskrzesi już zmarłego króla. Nic jednak, przynajmniej z pozoru, nie stoi na przeszkodzie, by zamarkować odwrócenie biegu zdarzeń: by abdykować i rozstać się z królową. „Czyż można zostać rozgrzeszonym, jeśli / Nadal korzysta się z owoców grzechu?”. I Klaudiusz chwieje się w obliczu tego pytania, bowiem jego szczerą rozpacz nie pozwala mu jednak aż na takie okrucieństwo wobec siebie i wobec tej, którą pociągnął w otchłań. Na uczynienie morderstwa jawnie bezsensownym. Jeśli na tym ma polegać zadośćuczynienie, przekracza ono jego możliwości. Wszystko na nic: „cóż ma począć ktoś, kto się nie może / Zdobyć na skruczę?”

Po naszej stronie kurtyny zrywa się jakaś postać odziana na biało: łobuziak, próbuje zerwać przedstawienie. „Klaudiuszu – woła – to jest

fałszywe postawienie problemu. Marzenie o doskonałości nie może stać się wrogiem dobroci! Zadaj sobie pytanie, co jeszcze chcesz w życiu zrobić, czemu chcesz służyć, a sprawiedliwość zostaw Sprawiedliwemu...”. Snopy latarek skupiły się na niesfornym widzu, kudłaci bileterzy wyprowadzają go siłą: „Proszę iść do szatni, zabrać swoje skrzydła i nigdy tu nie wracać” – słyszymy ich cichnące głosy, głosy cuchnące. Przedstawienie nie zostanie zerwane, na scenę nie przedostanie się wspomnienie o maksymie pierwszych chrześcijan („jeśli nie możesz robić wszystkiego, co powinienesz być robić – rób, co możesz”²), wypartej w słusznym skądinąd poczuciu, że do reszty nadwątliliby ona napięcie naszych moralnych wysiłków. A przecież czasem ratowałyby nas przed zagładą. Klaudiusz nie zazna tej nocy rozsądnego kompromisu z rzeczywistością, zagrozi sobie ostatnie drogi wyjścia. Skoro ze swego upadku nie jest w stanie wydobyć się na sam szczyt, upadnie jeszcze niżej.

Jego wyobraźnia kojarzy niebo z ziemskim trybunałem:

W zepsutym ludzkim świecie bywa nieraz,
Że ręka zbrodni, obciążona złotem,
Umie odsunąć z drogi sprawiedliwość;
Sam łup z grabieży pozwala złoczyńcy
Przekroczyć prawo. Ale nie tam, w górze!
Tam nie ma szachrajstw czy wykrętów; tam
Sądzi się czyny w ich prawdziwym kształcie,
Tam się musimy stawić osobiście
Na przesłuchanie, konfrontację z każdą
Z naszych win.

Chciałoby się powiedzieć pocieszająco: Klaudiusz błądzi, bo nie umie wyobrazić sobie miłosiernego Sędziego (kto umie?). W historycznej pogoni za utraconą bezpowrotnie czystością popełnia nowy grzech, grzech Judasza, który powiesił się na Polu Krwi, bo zwątpił w możliwość przebaczenia. Ale końcowe słowa jego monologu wydają się zapowiadać inny jeszcze ruch myśli. Są dwuznaczne, a wypadki kolej-

² Mam na myśli pouczenie z *Didache, czyli Nauki Dwunastu Apostołów* (I – II wiek n.e.) w wersji cytowanej przez ks. prof. Wacława Hryniewicza w książce *Chrześcijaństwo nadziei*, Kraków 2002. Tekst brzmi: „Jeśli możesz w całości nieść jarzmo Pana, będziesz doskonały; jeśli nie możesz, czyń, co możesz” (s. 151).

Elsynor i Jerozolima

Jerzy Sosnowski

nych dni nie ułatwiają rekonstrukcji sensu, który w nich przez chwilę zamigotał: ranek ujrzy już prawdziwego demona, bez wahania wydającego śmierci księcia Hamleta, Laertes, a nawet – pośrednio – umiłowaną Gertrudę. A jednak tamtej nocy król zdaje się przeczuwać przez chwilę coś ważnego.

Święci anieli, wspomóżcie w tej próbie!
Zegnij się, harde kolano; stalowe
Włókna w mym sercu, stańcie się tak miękkie
Jak mięśnie niemowlęcia. Jeszcze zdążę,
Jeszcze się wszystko naprawi.
(*klęka*)

Przed chwilą wyznał całą swoją bezradność: „Stoję / Z opuszczonymi rękami, nie robiąc / / Nic”. Prośba o przebaczenie wydaje mu się absurdalna. Nie potrafi wyrzec się owoców swego grzechu. Rozumie bezwzględny wyrok sprawiedliwości. A jednak klęka. Przed niebieskim trybunałem nic go nie usprawiedliwia. Brak mu jakiegokolwiek zasługi, na którą mógłby się powoływać. Ma tylko żal, z którego niewiele wynika, nic prawie; może też występna miłość, której nie chce się wyrzec. A jednak klęka. Jego gest jest pusty – tyle że Klaudiusz i z tego zdaje sobie sprawę. Ostatecznie ogołocoony, świadomy swej bezradności, szepcze coś, co można uznać za bezwstydną „jakoś to będzie”, zagadywanie własnego upadku. W oczach ziemskiej sprawiedliwości to dalece niewystarczające. Nędza duchowa nie może być regułą, podstawą usprawiedliwienia; tym bardziej nie może stać się precedensem, zbyt taną ucieczką dla łotrów. Ale przez chwilę majączy zarys jakiejś innej perspektywy, prawie nieuchwytej dla słów. Ukorzenie się i płynąca zeń nieokreślona nadzieja – to za dużo. A zatem: milczenie. Skoncentrowana cisza. Mowa znieruchomiałego ciała. Co mam powiedzieć. Jestem szczeliną, przez którą wlewa się nicość. Skazą bytu. Nie jestem. Nie ma mnie. Ja – nic. To jeszcze za wiele: nic po prostu. W komnacie nie brzmi wreszcie żadne kłamstwo.

O ile oddech nie kłamie.
Ale pewnie tak.
Więc jeszcze niższe pochylenie głowy.

To punkt, którego nie da się zawłaszczyć przez żaden morał, ująć w żadną krzepiącą naukę. A nieostrożne słowo wyrzuca prosto w bezwstyd, w beczelne przekonanie o własnej, cudem zesłanej bezkarności. Klaudiusz najwyraźniej nie wytrwał w nabożnej ciszy i stracił swoją ostatnią szansę (choć nierozumnie jest rozstrzygać o czyichkolwiek, więc i jego pośmiertnych losach). Desperacka nadzieja grzeszników – „jeszcze się wszystko naprawi” – jeśli skrywać jej absurdalność w opakowaniu z eleganckich sylogizmów, wiedzie na manowce, odrażające na pierwszy rzut oka. A jeśli obnażyć ją ze słów jak z szat?

*

To musiało być kilka miesięcy po tamtym wiosennym wieczorze, gdy zobaczył ją po raz pierwszy i oszołomiony jej wdziękiem (była dość daleko, więc pewnie nie mała dopowiadała mu wyobraźnia), dopytywał się sług: kto ona? Zatem jest lipiec; może sierpień. Zasłona chwieje się jeszcze po wyjściu Natana proroka. Jak duszno. Na tarasie byłoby może trochę chłodniej, ale z tarasu widać sadzawkę, w której, kto wie, czy woda dziś nie zmętniała? Nie zmieniła się w krew? Król nie chce sprawdzać, czy słowom proroka nie towarzyszą złowróżbne znaki. Słowa proroka były wystarczająco złowróżbne.

Król śnił? Na krótko, na parę decydujących miesięcy oszalał? Teraz obudzony. Pociski miotano z murów miasta Rabba, zrzucano z murów kamienie młyńskie na oblegających i zginął Abimelek, a obok niego Uriasz Hetyta. Nie żyje Uriasz Hetyta, ugodzony pociskiem Ammonitów pod miastem Rabba. Ale to nie Ammonici zabili Uriasza, zabił go król. Sam król wydał go na śmierć rozkazem, który Uriasz, wierny królowi Uriasz zawiózł był swemu wodzowi. Naprawdę nie domyślał się, co głosi zapieczętowany list? „Postawcie Uriasza tam, gdzie walka będzie najbardziej zażarta, potem odstąpicie go, aby został ugodzony i zginął”³.

Jeszcze niedawno myślał o tym król tak oto: musiałem ratować Batszebę. Cudzołóstwo ka-

³ Cytaty z Drugiej Księgi Samuela (o ile nie są przeze mnie parafrazowane) przytaczam według IV wydania *Biblii Tysiąclecia*.

rane jest przez nas śmiercią; nie odmieniłoby jej losu ujawnienie, czyje dziecko nosi w swoim łonie. I jak by to brzmiało: władca wysłał swych wojowników na wyczerpującą wyprawę, sam zaś raduje się wdziękami żony najmężniejszego spośród nich. Losy tronu stałyby się bardzo niepewne. Zbyt świeże jeszcze ślady prowadzą z Hebronu do Jerozolimy, zbyt świeża jest pamięć bratobójczych walk, dwuznacznych sojuszy z Filistynami.

Zatem: trzeba było ratować Batszebę. Trzeba było ją uczynić bezpieczną, a kto wie – może i wolną. Nie, nie „wolną”, raczej „własną”. Przed narastającymi wątpliwościami cofał się Dawid, krążył jak niegdyś w ucieczce przed Saulem: to jaskinia Adullam, to miasto Keila, to pustynia Maon, niepochwytny, bystry. „Zabrałeś owieczkę biedakowi” – zagrzmał tymczasem prorok Natan. Naczynia na stole drżą jeszcze, wzbudzone wibracją jego potężnego głosu. „Zabrałeś biedakowi jedyną owieczkę, która jadła jego chleb i piła z jego kubka, choć tyle masz stad. Dlaczego uczyniłeś, co złe w oczach Jahwe?”. I całe to rozumowanie, żałosna intryga, by odwołanego z wojny Uriasza skłonić do przespania się z żoną, by mógł przyjąć dziecko za własne, by uwierzył w swoje ojcostwo lub przynajmniej nie mógł mu zaprzeczyć (w końcu jakie ma znaczenie, w co wierzy jakiś Uriasz?), a potem śmiertelna intryga, skoro uparł się, by nocować poza domem – całe to rozumowanie i intryga rozbite w proch. Chwieje się jeszcze zasłona, potrącona przez wychodzącego proroka. „Zgrzeszyłem” – przyznał Dawid, w nadziei, że Natan cofnie straszne słowa, i jak cios w samo serce słyszy: „Dlatego nie umrzesz, ale twój syn umrze niezawodnie”.

Dawid nie rozumie chyba jeszcze, że nie tylko ten jeden. Wypowiada modlitwę, pełną żalu i zarazem nadziei, że nie wszystko stracone. Że miłosierdzie Nieskończonego większe jest niż największe tutejsze zło. Słowa, jak zwykle, układają się królowi harfiarzowi w pieśń, która w redakcji z piątego wieku przed Chrystusem dotrwa do naszych czasów.

Zlituj się nade mną, Boże, wedle miłosierdzia Twego i w wielkiej dobroci Twojej zmaż moje winy. Obmyj mnie całego z nieprawości mojej i z grzechu mojego oczyść mnie. [...] Tobie, Tobie samemu zgrzeszyłem i zło w oczach Twoich czyniłem, abyś okazał się sprawiedliwy w Twoim wyroku i prawy w Twoim sądzie⁴.

Początek Psalmu 51 to odwzorowanie sytuacji niegodnego sługi, którego przywleczono przed królewski tron. Tylko od łaskawości władcy zależy rodzaj kary. Jego wyroki są sprawiedliwe – i ten nie będzie inny. Ale władca może okazać również swoje miłosierdzie. Kara, o jakiej zdecydował, nie będzie wtedy zemstą, ale zmażaniem winy, przywróceniem zatraczonego przez zbrodnię ładu – a zatem i przywróceniem czystości winowajcy. To po wiekach dopiero kara (zwłaszcza utrata wolności) będzie piętnować na resztę życia: byłym galernikom, byłym więźniom ludzie nie dadzą zapomnieć o przeszłości, nigdy już im naprawę nie zaufają (co zresztą podpowie im bezlitosny rozsądek). Lecz Dawid widzi jeszcze w karze rodzaj oczyszczającej pokuty; oczywiście pod warunkiem, że nie będzie ona zbyt straszna, że wyrok zostanie odmierzony wedle miłosierdzia i dobroci, nie wedle gniewu.

Pokrop mnie hizopem, a będę oczyszczony, obmyj mnie, a nad śnieg bielszym się stanę [...]. Odwróć Twoje oblicze od grzechów moich i zmaż wszystkie moje winy. Serce czyste stwórz we mnie, Boże, i ducha mocy odnów we wnętrzościach moich.

Drżąc przed obliczem Tego, który może wszystko, dobrze jest znaleźć sobie jakieś usprawiedliwienie – i król po nie sięga, ale wybiera skromne i enigmatyczne: „urodziłem się w nieprawości i w grzechu poczęła mnie matka moja”. Kondycja ludzka nie jest kondycją anielską, żyjemy w świecie upadłym, wraz ze światem współwinni, odlegli od Edenu. Ani słowa więcej o przeszłości. Co zadziwiające: rozpacz z powodu zbrodni – a przecież wysłanie Uriasza na śmierć było haniebną zbrodnią, podstępem niegodnym Boskiego pomazańca –

⁴ Psalm 51 przytaczam w tłumaczeniu Czesława Miłosza.

Elsynor i Jerozolima

Jerzy Sosnowski

więc ta rozpacz nie paraliżuje króla. „Znam winy moje i mój grzech jest zawsze przede mną” – stwierdza krótko. Tylko tyle. Żadnego skomlenia małej, rozbitej duszy rozżalanej nad sobą, zachwalania swojej niewinności kiedy indziej, oskarżania bliźnich (a nieposkromieni chwalczy króla Dawida jeszcze dziś mają pretensję do Batszeby, że na kąpiel wybrała sadzawkę akurat pod oknami królewskiego pałacu: „Kto wie, czy nie czyniła tego celowo” – powiadają domyślnie⁵). Ale nie tylko tego wszystkiego brak, brak również wzmianek o tym, że król mógłby pragnąć cofnąć czas, udać cofnięcie czasu. Nawet by tego nie poczuł: Dawid ma przecież za żony Achinoam, matkę Amnona, i Abigail, która była dawniej z Nabalem, i Makę, matkę Absaloma, i Chaggitę, matkę Adoniasza, i Abitalę, Eglę oraz inne, wzięte z Jerozolimy, nie mówiąc o Mikal, bezdzietnej, która wzgardziła nim, bo tańczył przed Arką. I tyle ma nałożnic. Mógłby więc powiedzieć: „niech dusza Batszeby będzie dobrze zamknięta w woreczku życia u Pana mojego”⁶ i niech martwi się o nią Pan. Warto by też skazać na śmierć Joaba, wodza wyprawy na miasto Rabba, co byłoby zresztą z pożytkiem dla królewskiego bezpieczeństwa – bo skąd pewność, że Joab zniszczył tamten kompromitujący list? Mógłby zatem król symbolicznie chociaż zaprzeczyć przeszłości, zwłaszcza że jesteśmy przecież w Jerozolimie, nie w Atenach, o których pisze filozof, że tam „konieczność nie da się przekonać” i „nikt nigdy nie będzie miał już prawa powiedzieć: To nie tak, to się nie zdarzyło”⁷. Ale nawet w Jerozolimie – należałoby powiedzieć: właśnie w Jerozolimie – wiadomo, że prawo zmieniania przeszłości pozostaje w rękach Jedyne. Ów zaś dziwnie nie spieszy się z tym, lecz patrzy, co jesteśmy w stanie zrobić ze światem, jaki uczyniliśmy.

Toteż zamiast aranżować rzeczywistość na podobieństwo tej, która się już nigdy nie stanie,

bo wypadki pobiegły nowym, przez grzech Dawida wytyczonym torem – król zapowiada jedynie swoje czyny na przyszłość:

Przywróć mi radość Twojego zbawienia
i duch gorliwości niechaj mnie wspiera.
A będę przestępców nauczać dróg Twoich
i grzesznicy do Ciebie powrócą.

Ocal mnie od krwawej winy, Boże, Boże mojego
zbawienia, aby język mój wystawiał sprawiedliwość
Twoją.

Panie, wargi moje otwórz, i niech moje usta
opowiadają chwałę Twoją.

Bo nie pragniesz ofiar, abym je składał,
całopalenia nie żądasz.

Ofiarą moją, Panie, jest duch bolejący, sercem
bolejącym i skruszonym nie pogardzisz, Boże.

Ale że jesteśmy już głęboko wewnątrz historii Izraela, całe stulecia po czasach, gdy Mojżesz rozmawiał z Bogiem, więc Bóg milczy. I nie wiadomo – tym bardziej dziś możemy wątpić – czy Dawid najzwyczajniej nie ulega podszeptom swego grzesznego ja. Bóg milczy, a my żyjemy wewnątrz tego milczenia. I trzeba wytrwać w tej ciszy, pod czarnym niebem, zza którego nie rozlega się żaden głos. Zmierzyć się z tą ciszą bez łatwych pocieszeń, rozróżniając godziwe zadośćuczynienia i nierzetelne próby cofania czasu, przynoszące jeszcze więcej chaosu. A wszystko na własną odpowiedzialność. I żyj tu, człowieku, dalej, bez gwarancji odpuszczenia win, choć i bez pewności piekła. Zrozum, że niecofnięty grzech skazuje cię już zawsze na enigmatyczne „nie wiem” w kwestii twoich pośmiertnych losów, a także pośmiertnych losów twojego imienia. I jak tu nie ulec pokusie patrzenia wstecz – a także pokusie zapomnienia, że byłoby na co patrzeć?

Sprawiedliwość i zadośćuczynienie potrzebne są społeczeństwu, państwu. Bliźnim, których nasze uczynki utwierdzają w dokonanych wyborach lub wpędzają w niepokój i chaos. Tym-

⁵ Komentarz pochodzi z wydania *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* w przekładzie z języków oryginalnych pod red. ks. Michała Petera i ks. Mariana Wolniewicza (tzw. *Biblia Poznańska*), t. I, Poznań 1982, s. 539, przypis do 2 Sm 11,2.

⁶ Jak objaśnia komentarz w cytowanym wydaniu *Biblij Tysiąclecia*, obrazowe określenie przedstawiające ciągłą opiekę Bożą, użyte przez Abigail w stosunku do Dawida: 1 Sm 25, 29.

⁷ Lew Szestow, *Ateny i Jerozolima*, tłum. Cezary Wodziński, Kraków 1993, s. 110.

czasem religia zdaje się otwierać inny obszar. Obszar tego, co nieprzewidziane, nieobliczalne, może nawet niezasłużone. „Czy ty znasz uścisk Boga żywego?”. Wspaniałomyślnego, kapryśnego, kochającego, którego gniew łatwo obudzić, ale który wysłucha mnie, gdy do Niego zawołam na Jego świętej górze? W znanej formule pozostająca poza Kościołem pisarka nazwała kiedyś religię „zorganizowanym przerażeniem”⁸. Póki ta organizacja pozostawia w swoim obrębie ślad przerażenia, jego rezonans – lęk, póty mówi prawdę. Jeśli przeprowadza jednak skutecznie zabieg ukojenia – czy nie zaczyna kłamać na temat swoich własnych źródeł?

A przecież by nie zagubić ani jednego z wymiarów religii, dopowiedzieć należy zaraz inne zdanie: że religia, pozbawiona jasnej struktury nakazów i zakazów, niezawodnych kar za oczywiste winy i zachęcających do dobra nagród – niebezpiecznie zbliża się do innej odmiany zorganizowanego przerażenia: do magii. Zrywając sojusz z rozumem, kapłan przeobraża się w szamana, a Bóg niknie w ciemnościach. Tyle że obawiając się szamana w sobie, trafiamy nieraz w ręce wewnętrznego urzędnika. Ów nie zniesie w zasięgu swojego wzroku cudu, który nie da się zaplanować, przewidzieć, z którego nie da się wyprowadzić przepisu. Akt teofanii to katastrofa biurokracji. Niedocieczona tajemnica to dowód bałaganu w segregatorach.

W historii Dawida znamy przynajmniej zakończenie: tajemniczą Boską ugodę z królem. Bo oto Batszeba straciła dziecko, ale potem urodziła Salomona, najmądrzejszego z władców Izraela. I mimo że była cudzołożnicą (i czy możliwe, by nie rozumiała, że śmierć Uriasza uratowała jej życie?), i żeby nocami nie wątpiła w jej przypadkowość?, to jednak została wybrana. W rodowodzie Chrystusa wymieni ją ewangelista, choć zaciejsze z pewnością kobiety – przemilczy⁹.

Żaden morał przecież stąd nie płynie. Pozostaje pełne pokory milczenie wobec kaprysu Jahwe i pokornego męstwa Dawida, żyjącego dalej, ponad niepokojąco otwartym rachunkiem swoich win. I może kropla współczucia dla potępieńca z Elsynoru, który powinien był nosić imię Epimeteusza: nie umiał nie spoglądać wstecz.

*

Sumienie człowieka to dziwna konstrukcja. Uznawane za ostateczną instancję moralną, podatne jest zarazem na wmówienia, znieprawienia i histerie. Kiedy je wypreparować z życia psychicznego jednostki i starać się uchwycić, okazuje się zaledwie efektem społecznej tresury lub parawanem, za którym leniwie i bez troski przeciąga się w nas bestia. Wystarczy jednak odrzucić rzetelność sumienia jako hipotezę niedowodliwą i zbędną, a w próżnię po nim powstałą zaczną zapadać się składniki ludzkiego ja, niby powierzchnia ciemniejącej gwiazdy.

Sumienie obejmuje swoim oddziaływaniem szmat czasu: podpowiada, co czynić wypadnie i czego czynić nie należało, a pomiędzy jednym i drugim – w teraźniejszości – jarzy się niespokojna iskra.

Stand by.

Nawet niewielkie wychylenie ku przyszłości lub przeszłości dusi tę iskrę i całość *psyche* pogrąża się w mroku. Moje winy są nieważne wobec ogromu tego, co nadejdzie (i wszystko gaśnie). To, co nadejdzie, jest nieważne wobec ogromu moich win (i gaśnie wszystko).

Presja przeszłości jest chyba jednak większa.

*

Nie tak dawno rozmawiałem z moim przyjacielem R. o „nadziei zbawienia dla wszystkich”¹⁰ – koncepcji, która nie tylko przynosi otuchę wszystkim Klaudiuszom świata (niewątpliwie temu przeważnie służy), ale przywraca odpuszczeniu grzechów smak niedocieczonej tajemnicy, zawrotnego cudu. R. zapytał, czy

⁸ Zofia Nałkowska, *Granica*, Warszawa 1971, s. 255.

⁹ Por. Mt 1,6.

¹⁰ Por. *Puste piekło? Spór wokół ks. Wacława Hryniewicza nadziei zbawienia dla wszystkich*, pod red. Józefa Majewskiego, Warszawa 2000; zob. też przypis 2.

Elsynor i Jerozolima

Jerzy Sosnowski

doprawdy chciałbym widzieć w niebie swego ojca w towarzystwie Hitlera. „Nie o Hitlera się martwię” – powiedziałem enigmatycznie, ale R. zrozumiał i wzruszył ramionami: „A cóż ty mogłeś zrobić?” – roześmiał się drwiąco. Obaj jesteśmy za mali, by nasze życia miały być realnym problemem moralnym. Myślisz, że Bóg jest tak małoduszny, by liczyć dziewczyny, z którymi spaliśmy bez ślubu, albo wysłać nas do piekła za wypożyczanie pornosów z osiedlowej wideoteki? To jest horyzont wyobraźni dziecka, które ledwo przyjęło Pierwszą Komunię. Prawdziwe zło jest daleko poza zasięgiem naszych żalosnych grzeszków. Hitler, Stalin, pedofile, wielokrotni mordercy – oto wyzwanie, a nie jakieś humorystyczne drobiazgi, które ci spędzają sen z powiek. Daj spokój. Czy można pomyśleć Boga, który wybaczy Hitlerowi – to jest kwestia, a nie: czy można pomyśleć Boga, który wybaczy nam. Bo przecież wybaczy – zakończył mniej pewnie.

Wynikałoby z tego, że żyjemy w bezprecedensowych warunkach, stworzonych przez hiperinflację zła. Święty Stanisław Kostka mdlał podobno, gdy usłyszał z ust krewnych grube słowo. Święty Augustyn na starość drżał o ocenę swego życia, u jego zarania skalał się bowiem kradzież gruszek w sadzie sąsiada: nie ukradł dwóch ton gruszek, jedynie dwie lub trzy, gruszki, które zjedli z rówieśnikami, śmiejąc się, a sok ciekł im po podbródkach, między pierwszymi włoskami, nieśmiały zapowiedzią zarostu. Poprzeczka zawieszona była wysoko: po zbrodniarzy, o których komfortowym życiu czytamy dziś w codziennych gazetach, diabły przychodziły upomnieć się w świetle dnia. *Massa damnata* – mówił Augustyn o ludzkości, nie chcąc pamiętać słów Chrystusa: „w domu mego Ojca jest mieszkań wiele”, a może po prostu sądząc, że nasz niewyobrażalny pęd do czynienia zła zaskoczyłby nawet Syna Bożego. Rozmach nieszczęść, które w minionym stuleciu sprokowali ludzie ludziom, przesuwają granice piekła, czyścica i nieba, bo jeśli piekło zgromadzi ludobójców – trudno, by smażyli się obok nich pospolicie złodzieje i zabawni rozpustnicy; a skoro to oni zaludnią czyściec, życie bez jednej za-

ślugi, a bodaj z drugą żoną czy trzecim mężem, z niespłaconą pożyczką i przegapioną okazją do obrony fałszywie oskarżonego bliźniego – zdaje się być wystarczającą przepustką do nieostatniego szeregu anielskich chórów.

Dziewiętnastowieczni pozytywiści twierdzili, że religia jest dzieciństwem ludzkości – ich przemądrzały scjentyzm dawno odłożyliśmy na półkę ze starociami. Ale w wyobrażeniu zaświatowych kar i nagród za doczesne przekroczenia i zasługi rzeczywiście kryje się coś dziecinnego, coś, czego – pozbawieni w minionym stuleciu złudzeń – nie umiemy chyba potraktować poważnie. By odzyskać niewinność dziecka, drżącego przed zaśnieciem, czy nie zasmuciło Bozi – musielibyśmy zapomnieć o otchłaniach zbrodni, których pełne są podręczniki historii i codzienne gazety. Lub raczej: demoniczni zbrodniarze zwolnili nas z odpowiedzialności, odkrywając przed nami takie pokłady łotrostwa, o jakich nie śniło się nawet Klaudiuszowi, o Dawidzie nie wspominając. A przecież nie tak trudno wyobrazić sobie, że przekłęci będziemy wszyscy: właśnie dlatego, że zatraciliśmy poczucie powagi naszych mizernych występków.

A jednak chcę dodać coś jeszcze – zanim Klaudiusz uda się na spoczynek i obudzi jako potwór, w którym już nikt nie dojrzy (jak w kiepskim zwierciadle) choćby zatartego własnego oblicza. Zanim zginie Poloniusz, i może nawet zmruży oczy nieszczęśliwa królowa. Zanim Dawid przywoła znów do łoża Batszebę, a w kołysce zakwili po raz pierwszy maleńki Salomon. Chcę dodać słowo, w którym nie będzie pobrzmiwała zapowiedź wiecznej męki dla nas wszystkich; jakbym się obawiał, że nieostrożna igraszka myśli, próbna pogróżka, wypowiedziana w złą godzinę, może sięgnąć na nas karzący grom. Próbuję:

Czy chęć uporządkowania decyzji Jahwe, dlaczego Dawid tak, a Klaudiusz inaczej (a zatem: domaganie się wyjaśnień, niemożność wytrwania w modlitewnym milczeniu lub choć powściągnięcia swego krasomówstwa psalmem, zegnij się, harde kolano) nie jest mimowolnym

Teologia Polityczna 2/2004–2005

Temat numeru: Misja boża i ludzki porządek

żądaniem, by Bóg stosował się do kodeksu zaakceptowanego przez nasz ograniczony rozum? By sprawiedliwość Boska i sprawiedliwość ludzka okazały się wreszcie tożsame? A przecież tożsame być nie mogą, bo – gdzieśmy byli, kiedy On zakładał ziemię (powiedz, jeśli wiesz)? To zgrabne przypomnienie o niewspółmierności ludzkiego rozumu i przestrzeni wiary budzi zawsze mój niepokój – choć w trafność samego przypomnienia nie wątpię – można je bowiem przywoływać w dowolnej chwili religijnych dociekań, zatrzymując ich bieg to później, to wcześniej, lub zgoła na samym początku, wedle upodobania. Więc z zażenowaniem czynię to teraz, ale ostatecznie nie bez powodu: bo czy

w naszym nierozumieniu nie kryje się życiodajna nadzieja, w której nie wytrwał Klaudiusz? Źródło tajemnego światła, rozjaśniającego – choć słabo – mroki naszych elsynorskich nocy.

Jerzy Sosnowski

Dziennikarz radiowej „Trójki”, literat.

Z wykształcenia polonista. Opublikował m.in.

książki: Apokryf Agłai (powieść, 2001), Wielościan (opowiadania, 2001), Prąd zatokowy (powieść, 2003) – wszystkie wydane

przez WAB. Laureat Nagrody Fundacji

Kościelskich. Strona internetowa:

www.jerzysosnowski.com

R e d a k c j a p o l e c a

PISMO NA RZECZ ORTODOKSJI RADYKALNEJ

Kwartalnik poświęcony wszystkim wymiarom cywilizacji chrześcijańskiej
wydawany od pięciu lat przez Klub Książki Katolickiej w Poznaniu,
pod redakcją Pawła Milcarka.

Zamówienia można składać

- pocztą: Klub Książki Katolickiej,
ul. Woźna 13, 61-777 Poznań
- telefonicznie: tel. 0.61 851 55 90,
851 55 82, tel./fax 851 55 93
- e-mailem: klub@kkk.com.pl
- w naszym serwisie internetowym:
www.christianitas.pl

Najkorzystniej w prenumeracie
(60 zł na cztery kolejne numery)

O aktualne numery pytaj także
w salonach EMPIK.



W roku 2004 „Christianitas” otrzymała Nagrodę Św. Maksymiliana przyznaną corocznie przez Katolickie Stowarzyszenie Dziennikarzy.